

Aleksandra Przegendza

Obserwacje słuchowe czasu pandemii¹

Więcej dźwięków czy mniej? (marzec)

Zdawać by się mogło, że czas zamknięcia w mieszkaniu, odizolowania od świata powinien być bardziej cichy, ubogi w dźwięki. Izolacja kojarzy się z ograniczeniem, niedoborem – społecznym, ruchowym, poznawczym, zawodowym, także tym dźwiękowym. Tymczasem mam wrażenie, że moja codzienność jest bardziej wypełniona dźwiękami. Z pewnością nie jest tak rzeczywiście, bo nie słyszę już głośniejszych ulic Wrocławia (np. Most Grunwaldzki, okolice Nowych Horyzontów), nie przemieszczam się między turystami na Rynku, nie prowadzę tak wielu rozmów (słownie, mówiąc) ze znajomymi. To moje wrażenie dźwiękowego natłoku wynika z tego, jak podejrzewam, że więcej do mnie dociera. Teraz nie odbieram już tak wielu bodźców, których nie jestem w stanie unieść moja świadomość. We wcześniejszym trybie życia wypierałam otaczające mnie zewsząd komunikaty dźwiękowe, które nie były dla mnie użyteczne w danym momencie. Może zasadnym byłoby powiedzenie, że im mniej słyhać, tym więcej słyszę? Jestem uwrażliwiona na każde skrzypnięcie mojego krzesła biurowego, rozpoznaję zgrzyt otwieranych drzwi sąsiadów mieszkających dwa mieszkania dalej, wiem, że przed moim domem na drzewie siadają różne gatunki ptaków, bo śpiewają w inny sposób. Wcześniej nie byłam świadoma istnienia tych dźwięków.

Marzenia o dźwiękach (kwiecień)

11 marca 2020 roku Rektor Uniwersytetu Wrocławskiego zawiesił zajęcia. Od tego czasu wysłałam z mieszkania tylko kilka razy. Pierwszy raz, żeby odebrać zamówienie z apteki, drugi w celu przeprowadzenia ważnej rozmowy, która nie mogła odbyć się zdalnie, trzeci i czwarty na wycieczkę samochodową, bo już

¹ Tekst powstał jako realizacja zadania badawczego poświęconego obserwacji otoczenia dźwiękowego w okresie lockdownu spowodowanego pandemią, w ramach zajęć dydaktycznych studentów muzykologii Uniwersytetu Wrocławskiego w semestrze letnim roku akadem. 2019/20. (przyj. Red.).

nie umiałam wytrzymać siedzenia w czterech ścianach, a spacer w parku wydawał się być jeszcze szczytem nieostrożności. Dziś jest 23 kwietnia. Myślałam, że po tak długim okresie kwarantanny będzie mi brakować dźwięków, które mnie otaczały. Nie jest tak. Nie brakuje mi dźwięków Wrocławia, które kiedyś towarzyszyły mi każdego dnia – szumu Odry, zgiełku w okolicach Rynku, carillonu wypełniającego ulicę Szewską codziennie o 12:00 i 15:00. Nie potrafię znaleźć w pamięci dźwięków Wrocławia, których mogłoby mi brakować. Nie znaczy to jednak, że nie tęsknię za pejzażami dźwiękowymi otwartych przestrzeni w ogóle.

W tym czasie szczególnie często marzę o znalezieniu się w innym miejscu niż moje mieszkanie i najbliższe otoczenie. Moje marzycielskie myśli najczęściej nie mają formy wizualnej, lecz są dźwiękowymi wspomnieniami. Gdy zamykam oczy, by chwilę odpocząć, w mojej głowie pojawiają się najpiękniejsze pejzaże dźwiękowe, jakie poznałam. Przeważnie powraca do mnie szumiący dźwięk tysięcy pszczoł zamieszkujących wąwóz Samaria znajdujący się na Krecie. Słyszałam go w rzeczywistości raz, ale wyraźnie zapisał się w mojej pamięci, z czego dopiero teraz zdałam sobie sprawę. Jest wszechogarniający, pulsujący, a przede wszystkim kojący. Poprzez dźwięki marzę o znalezieniu się w innym miejscu. Dzięki temu chwilowo izoluję się od krzyków dzieci, które bawią się w korytarzach mojej kamienicy, bo najbliższy plac zabaw jest wciąż zamknięty.

Izolacja do kwadratu (maj)

Mieszkam w dość przestronnej, ale jednak kawalerce z moim mężem. Oboje jesteśmy studentami – dni głównie spędzamy, ucząc się lub biorąc udział w zdalnych zajęciach prowadzonych w formie wideokonferencji. Pierwszy tydzień życia w zamknięciu był dla nas trudny przede wszystkim ze względu na wydawane przez nas mimowolnie dźwięki, którymi sobie przeszkadzaliśmy. Nie było innego rozwiązania tej sytuacji, jak przeniesienie części swojej dźwiękowej rzeczywistości do słuchawek. Od momentu tej decyzji każdy z nas codziennie zamyka się w swoim dźwiękowym świecie. Początkowo izolowaliśmy się jedynie podczas zajęć, jednak teraz właściwie przez większość czasu z nich korzystam, głównie dzięki temu, że są bezprzewodowe i mogę w nich gotować, sprzątać, jednocześnie słuchając wykładu, audiobooka albo płyt na Spotify. Stopniowo przenieśliśmy niemalże całą naszą dźwiękową przestrzeń do słuchawek, dzięki czemu nie rozpraszamy się podczas pracy, a wieczorami „chodzimy” na inne wydarzenia muzyczne online, zalewające internet. Poprzez słuchawki jestem na premierze opery Beata Furrera i za ich pomocą trafiam do klubów streamujących muzykę graną na żywo. Czasem jestem jednocześnie na kilku koncertach, bo wreszcie można „zaliczyć” je wszystkie. Euforia związana z łatwością pokonywania przestrzennych barier wiąże się jednak z gorzką myślą o tym, że większość mojego życia teraz stanowią dźwięki nierzeczywiste, nie znajdujące

się tu i teraz w moim otoczeniu, takie, które zostały zapośredniczone przez słuchawki, bez których nie wyobrażam sobie funkcjonowania w tym czasie domowego zamknięcia.

To kilka zapisów z mojego dziennika dotyczących obserwacji słuchowych czasu pandemii. Wiele zmieniło się w moim środowisku dźwiękowym w czasie lockdownu. Zmiana ta dotyczyła nie tylko *z e w n ę t r z a*, czyli otaczającego mnie pejzażu dźwiękowego (np. mniejszy ruch uliczny, śpiew ptaków), ale także, co dla mnie istotniejsze, *w e w n ę t r z a*, czyli dźwięków, których doświadczam w sobie. Po raz pierwszy zaczęłam słyszeć powracające, dźwiękowe wspomnienia, które kojarzą mi się ze zjawiskiem *earworm*, ale w wersji soudscape'owej i przynoszącej ulgę, a nie muzycznej i natarczywej. Zmęczenie monotonnym pejzażem dźwiękowym mieszkania i hałaśliwe odgłosy spowodowały natomiast, że moją rzeczywistość niemalże całkowicie wypełniły dźwięki wirtualne. Czy powracające do mnie wspomnienie pszczół z Samarii to jedynie tymczasowa reakcja obronna na dźwiękowe ubóstwo pejzażu dźwiękowego? Czy pandemia trwale wpłynie na moje doświadczanie dźwiękowej rzeczywistości?